

Co widziałam podczas brutalnej akcji policji w Los Angeles

16 czerwca 2025

Rano 10 czerwca 2025 roku zdecydowałam się polecieć do Los Angeles, by relacjonować mało nagłaśniane protesty przeciwko Urzędowi Imigracyjnemu i Celnemu (ICE). Wieczorem byłam już w drodze na lotnisko.

□

Przez kilka dni świat patrzył, jak Kalifornia płonie. Samochody stanęły w ogniu, tłumy zostały zaatakowane granatami hukowymi, w powietrzu latały gumowe pociski, unosił się dym, gdy demonstranci i dziennikarze szukali schronienia, łapali oddech i w pośpiechu zakładali maski. Sceny na miejscu wstrząsnęły nami wszystkimi. Równie wstrząsające były nagłówki: „Rangerzy palą Los Angeles” oraz „Brutalni protestujący w Los Angeles”. Zastanawiałam się, kiedy wolność słowa stała się synonimem przemocy. Kiedy skandowanie haseł zaczęło uzasadniać użycie gazu łzawiącego i gumowych kul? Byłam zdeterminowana się tego dowiedzieć.

Do Los Angeles przybyłam o dziesiątej rano i od razu udałam się do Little Tokyo, gdzie miałam się zatrzymać. Odłożyłam rzeczy, zabrałam najpotrzebniejsze rzeczy – maskę, ładowarkę do telefonu, powerbank, mikrofony i portfel – i ruszyłam w drogę.

Spacer po ulicach L.A. miał dystopiczny charakter. Piękne budynki sąsiadowały z murami pokrytymi graffiti – nie jako akt bezsensownego wandalizmu, lecz jako wyraz żałoby, oporu i przetrwania. Wiadomości pozostawione przez ludzi, którzy chcieli zostać usłyszani. Gdy zbliżałam się do South Alameda

Street, zauważyłam policyjne radiowozy LAPD (Los Angeles Police Department – Departament Policji Los Angeles) blokujące jedną stronę ulicy. Policjanci stali w grupach, wpatrzeni w ulicę. Poszłam dalej. Z oddali dobiegały głosy przez megafony, a z każdym krokiem okrzyki stawały się głośniejsze.

Byłam na miejscu. Około 80 do 100 demonstrantów zebrało się przed Centrum dla Weteranów (VA). Za nimi stali żołnierze Gwardii Narodowej Kalifornii i policjanci LAPD – w milczeniu. Nieco dalej zaparkowane były trzy Humvee, zwrócone w stronę tłumu, milczące przypomnienie o gotowej do działania sile. W tle z głośników płynęła muzyka, a ludzie ze wszystkich środowisk opowiadali mi swoje historie – wielu podkreślało, jak bardzo imigranci kształtują kulturę, rynek pracy i gospodarkę Kalifornii. Jeden z demonstrantów powiedział mi: „Polegamy na imigrantach, by uprawiali dla nas żywność i przynosili nasze ulubione dania na stół. Ich muzyka, ich sklepy – są obecni w każdej części Los Angeles”.

Spotkałam pastora z Crescenta Valley United Methodist Church, który powiedział, że przybył tu, by odpowiedzieć na wezwanie Jezusa, by troszczyć się o najsłabszych. Rozmawiałam też z weteranem sił powietrznych, który służył 10 lat i został wysłany na misję tuż po 11 września. Powiedział mi, że walczy o weteranów, o których Ameryka zapomniała, i o rodziny rozdzielone przez zatrzymania i deportacje. Jako gej, który służył pod zasadą „Nie pytaj, nie mów”, opowiedział mi, że przez lata nie mógł mówić prawdy o sobie – aż w końcu zrozumiał, że służył krajowi, który wymagał od niego milczenia.

Stało się jasne, że ci ludzie walczą o godność i sprawiedliwość – wobec systemu, który próbował ich uciszyć lub wymazać – niezależnie od tego, czy byli imigrantami, czy nie.

Wkrótce potem LAPD zaczęła mobilizować się po drugiej stronie South Alameda Street. Zostaliśmy otoczeni. Demonstranci stali się głośniejsi, ale nigdy nie byli agresywni. LAPD zażądała,

by się rozproszyli – co uznałam za szczególnie interesujące. Otoczeni, włącznie z mediami – dokąd mieliśmy pójść? W ciągu kolejnych 30 minut policja zaczęła działać. Otoczono nas – taktyka, którą jeden z demonstrantów określił jako „kocioł”: policjanci otaczają protestujących, by kontrolować ich ruchy. Sprytne.

LAPD posuwała się naprzód stopniowo, krótkimi zrywami, po kilka metrów. Nim się obejrzeliśmy, demonstranci i media byli powoli spychani do tyłu. Z obu końców South Alameda Street funkcjonariusze zbliżali się. Za nimi pojawiła się Gwardia Narodowa Kalifornii. Demonstranci pozostali spokojni, upominali się nawzajem, by niczego nie rzucać, nie stawiać oporu i nie eskalować sytuacji. Pamiętam, jak jeden z demonstrantów krzyczał do policji: „To wy macie broń! My nie!”.

Wtedy LAPD otworzyła ogień. Poleciały granaty z gazem pieprzowym, gumowe kule odbijały się od chodnika i uderzały ludzi. Wybuchła panika. Tłum się rozproszył. „Zaraz będą strzelać!” – krzyknął ktoś. Sekundy później padły strzały. Biegając, mogłam myśleć tylko o jednym: „Jak do tego doszło? Dlaczego strzelają?”. Demonstranci w żadnym momencie nie byli agresywni. Nikt niczego nie rzucał. Nikt się nie bronił. Korzystali z prawa wynikającego z Pierwszej Poprawki – wolności słowa i prawa do pokojowego zgromadzenia. Czy krzyczenie to przemoc? Czy śpiewanie to przemoc? Czy wolność słowa to przemoc? Kiedy wolność słowa stała się synonimem przemocy?

Policja ogłosiła, że zostaniemy aresztowani, ponieważ nie opuściliśmy obszaru po wydanym rozkazie. Byliśmy otoczeni – uwięzieni – i wszyscy usiedliśmy, włącznie z dziennikarzami. Funkcjonariusze oznajmili, że zostaniemy skute kajdankami i przewiezieni do aresztu, gdzie śledczy zdecyduje, czy „legalnie” uczestniczyliśmy w demonstracji. „Proszę wstać. Proszę podejść twarzą do ściany” – powiedział do mnie funkcjonariusz. Wykonałam polecenie.

Zapięli mi kajdanki, zapytali o imię, numer telefonu i adres. Następnie zabrali mi wszystko – telefon, portfel, dosłownie wszystko – skonfiskowali i zabezpieczowali w torbie. Przed wylotem wyłączyłam rozpoznawanie twarzy i aktywowałam funkcję „Wyczyść przy blokadzie”, na wszelki wypadek. Wiedziałam, że nie będą mogli niczego z niego wyciągnąć. Bałam się jednak, że inni nie będą mieli tyle szczęścia.

Dziesiątki z nas stały przykute kajdankami do ściany Centrum dla Weteranów, twarzą do przodu, w milczeniu, gdy byliśmy przeszukiwani. Kątem oka zobaczyłam, jak podjeżdżają dwa autobusy. Mieliśmy trafić do więzienia.

Powiedziałam jednemu z funkcjonariuszy, że jestem dziennikarką. Zabrano mnie na bok. Wyższy rangą funkcjonariusz zapytał: „A więc jest pani dziennikarką? Może pani to jakoś udowodnić?”.

Dziwne pytanie. Jakby trzeba było zasłużyć na prawo do dokumentowania, mówienia, obserwowania. Zastanawiałam się, czym różni się wolna prasa od wolności słowa? Co sprawia, że moja praca jest bardziej „wiarygodna” niż działania aktywistów obok mnie? Gdybym stała za kamerą i śpiewała, zamiast przed nią relacjonować – czy to pozbawiłoby mnie ochrony? Czy wtedy łatwiej byłoby zignorować moje prawa? To zatarcie granic między pokojowym protestem a przestępczym zachowaniem to właśnie to, czym żywi się państwo policyjne – tam, gdzie wypowiedzanie się, gromadzenie się, bycie widzianym spotyka się z odpowiedzią w postaci przemocy.

Jedyny wniosek, jaki mogłam wyciągnąć z mojego pierwszego dnia w Los Angeles, był taki, że nie chodzi tu o bezpieczeństwo publiczne. Chodzi o uciszenie sprzeciwu.

Autorstwo: Jalyssa Dugrot

Źródło zagraniczne: [MintPressNews.com](https://www.mintpressnews.com)

Źródło polskie: WolneMedia.net